

(5)

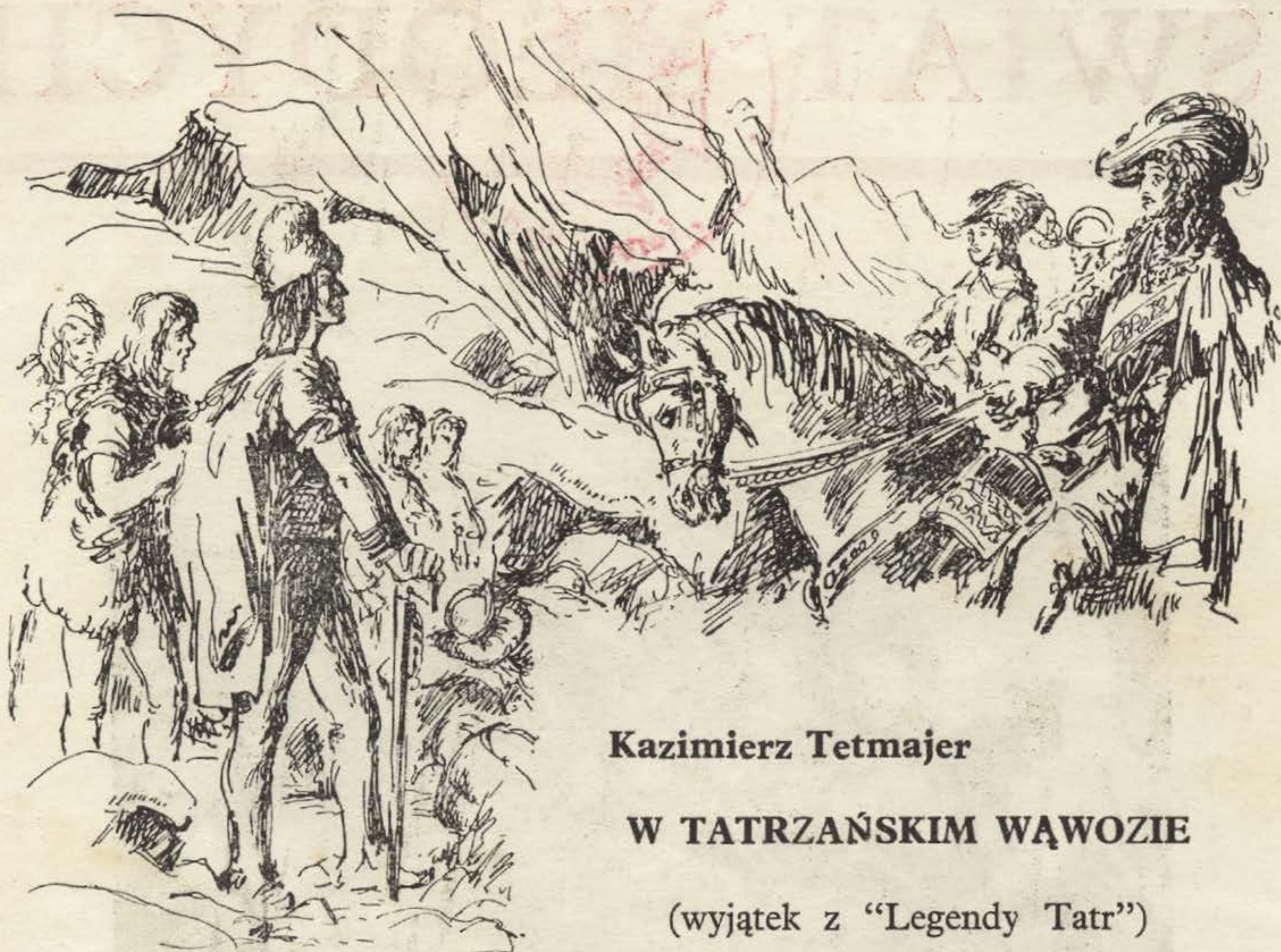
42. M...
v. 46

SWIAT MŁODYCH



archiwum

Lewar Khoina, Vauokh
Ref. Dr. reii



Kazimierz Tetmajer

W TATRZAŃSKIM WĄWOZIE

(wyjątek z "Legendy Tatr")

Ostrożnie postępował Janosik, szpiegów rozsyłając, aby królewskiego gazdę tym pewniej na gazdowstwo wawelskie wprowadzić. Im dalej ku wschodowi, tym śniegi były mniejsze a twardsze, tak że co pod Babią Górą po kolana zapadać trzeba było, to poza utok Jaworowej Doliny raczej trza było raki żelazne pod kapce przyprawiać, bo się ślizgały. Gdy też Janosikowi Gadeja i Mateja wieści donieśli, iż Szwedzi, o przekradaniu się króla powiadomieni, w wąwozie nań pod Magurą Spiską czatować mieli, w mig Janosik plan wielki powziął, a siła się już chłopów ku niemu po drodze przyłączyła. Cicho jak zbiki szli szpiegowie Janosika za

rajtarami i szwedzką piechotą, a nim Szwedzi do wąwozu dotarli, już po obu stronach jego w lesie kilkuset chłopów na śniegach leżało.

Głazy olbrzymie na rozkaz Janosika ze zmarzłego gruntu chłopci nadludzkimi swymi siłami powydobywali i z gotowymi czekali nad uboczami prawie nie pokrytymi śniegami.

Czekali od rana, ale zimna nie czuli, tyle w nich było żądy tej okropnej, śmiertelnej, zbójckiej psoty, jaką wyrządzić mieli. Każdy przy głazie leżał i patrzył pomiędzy drzewa w dół.

W tem zabiły im serca: naprzód ze dwustu rajtarów z oficerami, potem paret piechoty poczęło wkraczać w

wąwóz. W żelazie jechała rajtaria, w kirysach piechota . . .

Szli niczego nie podejrzewając. I zaczęli się za zakrętem na króla.

Co za piekielna uciecha ! Zasadzka na tego, co sam zasadzkę urządza !

Aż i z przeciwległej strony jeźdźcy ukazywać się poczęli.

Na przodzie jechał w futrze odziany człowiek, za nim orszak nie duży, koło pięćdziesiąt ludzi liczący.

Jechali spokojnie, snadź niczego złego nie przypuszczając. Owszem, widać było, że jadą wesoło : jeździec na przodzie zwracał się często (snadź z mową) do jadących za nim towarzyszy.

— Król, król — szeptali górale.

Wjechali w wąwóz. Orszak wydłużył się dla wążkości miejsca i posuwał się powoli naprzód.

Wtem wrzask straszliwy napełnił góry, od którego konie spłoszone dęba stanęły i na zadach przysiadły.

Z obu stron wąwozu na rycerstwo szwedzkie zaczęła się toczyć lawina głazów.

Uczyniło się wśród Szwedów zamieszanie okropne. Konie i ludzie miażdżeni, przewalali się, i z ciał i ścierv tworzyły się kłęby i zwały. Ze wszech stron, jak długa linia wojska się rozciągała w wąwozie, leciały głazy. Przed siebie i za siebie jęli Szwedzi uciekać, ale w tej chwili gruchnął nad nich grad kul z samopałów, strzał z łuków, kamieni z proc, a w ślad wynurzyły się z mroku leśnego postacie i, z niesłychaną szybkością zbiegając na dół, z ciupagami na szukających ratunku natarły.

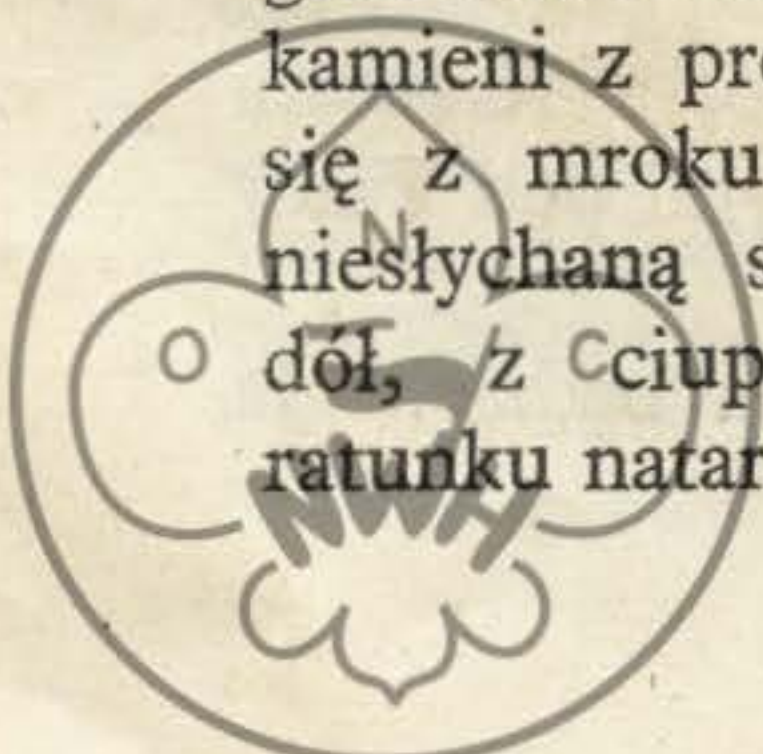
Na hełmach i pancerzach szwedzkich zadzwoniły siekiery. Szwedom wydawało się, że diabły, i prawie bronić się nie śmieli, zresztą furia nacierających, zręczność siła, stosowne do podobnej walki, strój, uzbrojenie i pozycja łamały wszelki opór. Czego nie zgmiotły głazy, rąbali chłopi. Ryk nieludzki grzmiał w górach i szcęk jak w olbrzymiej kuźni . . .

Nuncjusz papieski i biskup krakowski Gębicki, którzy królowi towarzyszyli, krzyżem świętym przestrzeń przed sobą żegnać zaczęli. Dopiero gdy pierwsi Szwedzi w popłochu z poza zakrętu wypadli, król szpady dobył, za nim szlachty i żołnierzy kilkunastu . . .

Lecz widok ściganych Szwedów i spadających na nich górali do reszty orszak królewski zdumiał i osłupił. W oczach króla i towarzyszących mu panów i żołnierzy rąbano rajtarów i piechotników szwedzkich. Gdy się zaś śmielsi z orszaku wraz z królem naprzód na to widowisko końmi poparli, ujrzeli chłopów bijących w kupę Szwedów, poprostu jako praczki kijami w kupę bielizny mokrej wałą.

— In nomine Patris et Filii et Spiritui Sancti. Amen ! — zawołał król. — Co to jest ?

I patrzył na rzeź zdumionym wzrokiem. Jego to pogromców gromiono. Kto pardon wołał nie darowano zdrowiem. W okrótniej zapamiętałości, w żądzy mordy i przelewu krwi górale kosili Szwedów, aż nuncjusz papieski oczy zakrył, a biskup krakowski wołać począł :



— Dosyć ! Dosyć ! Stójcie chrześciance !

Nic to ; dopóki ostatni stojący nie padł, straszna młocba toporów nie ustawała.

— Król ujrzał przed sobą drogę zagrodzoną — ale trupami.

— Ludzie ! Ktoście wy ? — zapytał.

— Górale — odpowiedziały zdyszane, ochryple głosy.

— Skąd ? Kto was nawiódł ?

— Janosik Nędza Litmanowski z Polan.

— Dawaj go sam ! — krzyknął król. A biskup Gębicki zawołał :

— Chłopi ! Król przed wami stoi !

Naówczas poczęli górale odkrywać głowy z czap wełnianych, kołpaków baranich i kapeluszy sukiennych, które się od tłuszczu zakrzepłego nieświadomemu oku jako skórzane wydawały . . .

— Gdzież wasz wódz ? Gdzież ów Janosik ? — zapytał Jan Kazimierz.

Wystąpił Nędza naprzód, cały krwawy, od czapy po kierzce, z czerwonej ciupagi po toporzysku krew mu ciekła.

— Aleś to, widzę, z jatki przyszedł rzeźniku — zawołał wesoło król, jako był skory do śmiechów.

Janosik, czapką króla pozdrowił, nazad ją na głowę wdział, wsparł się na ciupadze ręką w bok i rzekł :

— Jedźcie panie królu na gazdowstwo wasze.

— Człeku ! Czapę ze łba ! Do króla mówisz ! — krzyknął biskup krakowski.

A któryś ze szlachty z orszaku wściekłym głosem wrzasnął :

— Na kolana !

Z piorunami gniewu w oczach zwrócił się Jan Kazimierz za siebie, ale zanim usta otworzyć zdołał, pogardliwie, a wyniośle Janosik odpowiedział :

— My oba do siebie i w capkak możemy radzić, bo my wolni. A kto się do poholstwa cuje, nieg capke sejmie. A klękać to mnie jyno przed Pane Bogie ucyli w kościele.

Nie śmiał się nikt ozwać na gniew królewski, na twarzy Janowi Kazimierzowi widny, ksiądz biskup Gębicki zaś aby zło zażegnać, rzekł :

— Nim w Krakowie na Wawelu "Te Deum" zaśpiewamy, a wy, chłopi, ziemskiemu swemu panu drogę przez trupy szwedzkie rozgroźcie.

Wzięli się, chłopi do roboty, Jan Kazimierz zaś Janosika pytał :

— Jakiej nagrody chcesz ?

Janosik myślał chwilę, snadź namyślał się, potym rzekł :

— Wytnijcie, królu, tego, tego co mi klękać przed wami kazał w pysk.

— Może i to być — zawołał wybuchając śmiechem król — A więcej czego chcesz ?

— Nic — odpowiedział Janosik. — Ja wam pomogłem, jak gaźda gaździe. Wracajcie się na gazdowstwo swoje.

Śmiał się król.

— Jakby ci trza było, z Krakowa z chorągwiemi pancernymi pod Tatry przyjdę.

— Mnie hań nie trza będzie. Ja se wse rade dam sam.

— Szpetnie nam przymówił —
zwrócił się król do orszaku. — No
Janosiku, czym mogę to ci dziękuję
w podróży.

I kiesę złota z kieszeni spodni wy-
ciągnawszy pod nogi Janosikowi rzu-
cił. Za przykładem tym poszli biskupi,
panowie, szlachta, towarzysząca kró-
lowi, Złoto potoczyło się na śnieg.

— Bierzcie chłopcy jak wam wola —
ozwał się Janosik do górali, — a wy
panie królu, przymcie zaś ode mnie
to.

I ciupagę swą krwawą ku królowi
wyciągnął.

— Bierz — zawołał król do ręko-
dajnego, który stał na koniu podle. —
Bierz ! Bo oto przez chłopską siekierę
do królestwa mego wracam.

I ruszywszy koniem ku Janosikowi,
za głowę go uściskał i przez torowaną
poprzez trupy rajtajskie drogę konia
naprzód pchnął, a za nim posunął się
orszak z głośnym śpiewaniem "Ciebie
Panie Chwalimy", którą z poblizej
kościółów mieszkający chłopci za bis-
kupami i rycerzami śpiewali, otoczy-
wszy orszak, aby go w razie ponownej
napaści bronić i osłonić.



OD GĘSIEGO DO WIECZNEGO PIÓRA



U narodów, które posługiwały się niegdyś
pismem obrazkowym, nie mogło być jeszcze
mowy o pisaniu we właściwym tego słowa
znaczeniu, ale raczej o malowaniu. Toteż
Chińczycy, u których prawdopodobnie naj-
pierw powstała sztuka pisania, malowali raczej
niż pisali, posługując się tuszem i pędzelkiem.
Tego samego sposobu używali do swoich
hieroglifów Egipcjanie.

Wiemy, że za czasów Greckich istniał już
atrament. Pisano nim na pergaminie i na pa-
pirusie. Najosobliwszego jednak materiału
użył Temistokles, kiedy chciał udzielić kró-
lowi perskiemu bardzo ważnej wiadomości.
Kazał mianowicie ogolić głowę jednemu z nie-

wolników, i napisał na niej list, który po
niedługim stosunkowo czasie, jak to łatwo
domyśleć się został zakryty odrastającymi
włosami. List ten mógł odczytać król w
chwili otrzymania go, oczywiście, dopiero po
zgoleniu czaszki niewolnika.

Rzymianie posługiwali się przeważnie wos-
kowymi tabliczkami, na których pisali za
pomocą rylca z kości słoniowej, znali jednak
również pióra trzcinowe i atrament, który, jak
opowiada pamiętnikarz rzymski Pliniusz,
składał się ze sadzy, kleju i gumy.

Od czasów starożytności i średniowiecza do
czasów nowożytnych dokonany został wielki
postęp w zakresie sztuki pisania i używania

przy niej przyborów. Postęp ten jest szczególnie szybki w okresie intensywnego rozwoju przemysłu i dokonywujących się coraz to nowych udoskonaleń technicznych ostatnich dziesiątków lat.

W dwudziestym wieku nie można sobie wprost wyobrazić życia bez pióra do pisania. I pomyśleć, że jeszcze osiemdziesiąt lat temu, dziadkowie nasi używali jedynie piór gęsich!

Wynalazcą pierwszej stalówki był robotnik jubilerski w Birmingham w Anglii, Józef Gillot.

Było to w czerwcu 1885 r. Kiedyś przy pracy zdarzyło mu się przypadkiem rozczepić na końcu cieniutkie dłutko jubilerskie. Chciał natychmiast szkodę naprawić bojąc się wymówek szefa. Nim zdążył jednak to zrobić, wezwano go do podpisania jakiegoś kwitu. Gillot nie mając pod ręką pióra gęsiego, zamaczał dłutko w atramencie i kwit podpisał. Przekonał się przy tym, że metalowym narzędziem lepiej można się podpisywać niż gęsim piórkiem. Wtedy wpadło mu na pomysł, że mógłby przecież masowo wyrabiać swe "pióra".

Pierwsze fabrykowane przez Gillota stalówki różniły się bardzo od obecnie używanych. Rączka tworzyła z samą stalówką jedną całość. Były to poprostu stalowe wałeczki, długości obecnie używanych ołówków, na końcu spłaszczony i rozczepiony.

Pióra te miały od razu duże wzięcie, tak że w niedługim czasie Gillot porzucił pracę jubilerską i założył własny warsztat wyrobu piór. Dorobił się na tym wcale pokaźnego majątku. Z czasem zaczął rzeźbić różne ozdoby na rączkach i robić inkrustacje z masy perłowej i złota.

W niespełna dwa lata, pióra Gillota stały się sławne na obu półkulach. Zaczęto wyrabiać oddzielnie stalówki, a oddzielnie rączki i od tam rozwój fabrykacji poszedł już bardzo szybko naprzód. Nie było państwa, w którym by nie powstała przynajmniej jedna fabryka stalówek.

Dopiero jednak dwudziesty wiek, wiek przyspieszenia tempa życia — przyniósł zasadniczą zmianę w wyrobie piór.

Ludzie interesu doszli do przekonania, że tracą za dużo czasu na ciągle maczanie stalówki w atramencie. Ponieważ stare przysłowie głosi, że, potrzeba jest matką wynalazku, więc wkrótce skonstruowano pierwowzór obecnie rozpowszechnionego "Wiecznego pióra".

Wynalazcą tego pierwowzoru był skromny braciszek kwestarz z zakonu OO. Kapucynów, z klasztoru La Roche w Sabaudii. Na imię braciszkiowi było Kandyt. Ponieważ brat Kandyt w czasie swych licznych wędrówek kwestarskich nie rozstawał się z flaszeczką atramentu i piórem, często się zdarzało, że flaszeczka z inkaustem nie była dość mocno zakorkowana i wtedy cała zawartość torby podróżnej zalana była atramentem. Po kilku takich wypadkach brat Kandyt zaczął przemyśliwać nad tym, jakby się na przyszłość uchronić od takich nieprzyjemności. I tak wpadł na pomysł pióra zaopatrzonego w rezerwuar z atramentem. Rezerwuar ten sporządzony był z rurki mosiężnej, zamykanej korkiem umocowanym za pomocą spiralnego drutu. W niedługim czasie powstało w miejscowości Sallanges osobne towarzystwo dla eksploatacji wynalazku brata Kandyta.

Obecnie weszły w modę pióra wieczne ze szklaną stalówką. Nicomal każdy rok przynosi w tej dziedzinie jakieś ulepszenia. Już na wiele lat przed wielką wojną zaczęto wyrabiać wieczne pióra ze złotą stalówką. Potym dodano dla trwałości irridium.

Lecz z czasem i pióro zostaje wyparte przez maszynę do pisania. Nadejdzie czas, gdy pióro służyć będzie wyłącznie do podpisywania się . . . Postęp cywilizacji idzie stale naprzód; szalone tempo dzisiejszego życia wymaga też od człowieka coraz to nowych udoskonaleń technicznych.

Jak wielkie zastosowanie znajduje dziś stalówka we wszystkich krajach, wystarczy może gdy nadmienimy dla ogólnej orientacji, że w Polsce zużywano przed wybuchem ostatniej wojny cztery do pięciu milionów stalówek rocznie, których odbiorcami głównymi, byli, naturalnie, uczniowie.

podług A. Simmlera, K. Wiśniowskiego i Dołęgi Lewandowskiego.



Ewa Szelburg-Zarembina

W PRACOWNI MALARZA PATRIOTY.

Wielka, obszerna i wysoka izba nappełniła się raptownie zmrokiem. Liczne szyby jej okien zmętniały oto od nagłego, bujnego deszczu, który spadł na Kraków o tej popołudniowej porze.

Przygasły w zmroku metaliczne błyski starych oręży i rycerskich zbroi, niby w jakimś muzeum porozwieszanych tu obficie po ścianach; straciły swój drogocenny połysk staroświeckie delie i kontusze, czepce ze złotogłowiu i słuckie pasy lite, rozłożone na stołach i ławach pod ścianami.

Jeden tylko niebywałych rozmiarów obraz, stojący na olbrzymich stalugach pośrodku tej wspaniałej malarskiej pracowni walczył z mrokiem żywymi barwami świeżych, wilgotnych jeszcze farb.

Mistrz Jan Matejko zstąpił z podwyższenia, na którym pracował przy ogromnym płótnie. Drobny był, szczupły, z wąską zapadniętą piersią. (Aż dziwno było znającym go ludziom, że taki wielki, niestrudzony duch mieszka w tym schorowanym, wątłym ciele).

Odłożył pędzle i paletę. Opuścił znużone ręce. Wytężone oczy piekły go teraz ogniem pod chłodnymi szklami okularów.

Starzec odrzucił z wypukłego czoła długie, siwiejące już włosy. Odstąpił od obrazu, aby lepiej objąć wzrokiem całość. Patrzył.

Malowany tłum ludzi stał przed nim, jak żywy. I z kolei, ten tłum patrzył na niego, swego twórcę . . . Iskrzyły się oczy. Rumieniły się twarze. Prężyły się potężne ramiona. Dyszały usta otwarte do okrzyków.

. . . Dziw, że głosów nie słyszeć. I dziw, że to wszystko trwa na miejscu, że z tego płótna nie wyjdzie, nie runie na izbę ciżbą zgiełkliwą i potężną!

Mistrz Jan wciąż patrzył i serce mu biło mocno ze wzruszenia. Z radości i dumy. A także i dlatego, że zmęczył się malarz tą nadludzką pracą, pracą nie na siły zwykłego człowieka, lecz olbrzyma!



Ileż to lat służył już swą sztuką, swą duszą płomienną i nieustrudzonym ciałem Bogu i Ojczyźnie ?

Ojczyzna ! Dla niej żył. Z myślą o Polsce tworzył wszystkie swoje dzieła . . .
“Kościuszko pod Racławicami” to jego ostatni wielki obraz.

Był to czas kiedy Jan Matejko stawiał już przed oczy narodowi tyle chwil z minionych dziejów Ojczyzny :

“Unia Lubelska”, łącząca braterskim węzłem przyjaźni dwa narody . . .

“Batory pod Pskowem”, gdzie na klęczkach błagają króla polskiego wysłannicy cara o pokój . . .

“Sobieski pod Wiedniem”, obraz upamiętniający zwycięstwo miecza polskiego, który osłaniał przez długie wieki cywilizację zachodnią i chrześcijaństwo przed najazdami ze Wschodu.

“Kazanie Skargi”, “Rejtan”, “Kostytucja 3-go Maja”, i wiele, wiele innych . . .

Jak nikt dotąd ukazał Polakom Polskę w jej czasach chwały i upadków, bohaterstwa i poświęcenia. Sumieniem narodu wstrząsnął i w narodzie szukał wciąż siły, która by znowu dźwignęła los Ojczyzny.

Aż oto jego twórcza ręka zatrzymała ociekający pyszną barwą pędzel na wspaniałej postaci Bartosza Głowackiego.

Na polu zwycięskiej bitwy stoi ten chłop w sukmanie i na zdobytej przez chłopów armacie dłoń mocną opiera. A wódz narodu, Tadeusz Kościuszko, pozdrawia radośnie zwycięzców, od dziś równych braci szlachcie w obliczu Boga i Ojczyzny.

— Tak było — szepnął mistrz Jan. I zatworzył się w duszy bo pomyślał :

— W miarę możliwości i sił wskrzeszam czasy minione. Ale oto niewiele pozostaje mi lat życia i pracy. Kto przyjdzie aby dalej podjąć mój trud ? I więcej : aby przedstawić przed przed oczy narodu nie tylko to co było, ale czego trzeba zapragnąć, aby się stało ?

Gdy tak rozmyślał, w pobliżu kościoła Pijarów odezwał się dzwon na Amioł Pański.

Uspokoilo się serce w starym mistrzu. Splótnął poplamione farbami dłonie :

— Zdrowaś Maryja . . . — szepce ufnie, bo wierzy, że Królowa Korony Polskiej czuwa nad polską ziemią, dla której przyjdą jeszcze lata chwały . . .



archiwum



PRZYSIĘGA

Gdy stary włodyka Mieszko poczuł, że się doń śmierć zbliża, służebnica niezawodna zarówno wielkiego Boga chrześcijan, jak przedtem bogów pogańskich, odprawił ze świetlicy żonę Odę i młodszych synów, ryżych, jak ich dziadek Dytrych i domowników, samego tylko Bolesława zostawiając. Chciał mu coś rzec i dech zbierał, radując się, że ucichła wrzawa kobiet zawodzących, krewniaków rodowych i sług. Spojrzał w okienko, podle łożnicy błyszczące w ścianie, niby zwierciadło. Za małym kwadratem wyciętego w modrzewiowych bierwionach, otworu siał się świat daleki jasny i szumiał pogwar wojacki. Wieść o śmiertelnej niemocy knezia już się rozeszła po kraju, przeto pod tynem zebrana stała

drużyna; trzy tysiące człeka w szłomach żelaznych z mieczami krótkimi u pasa, oszczepem ostrym i szczytem trójkątnym drewnianym, skórą pokrytym. Czekali wiadomości o śmierci włodyki, by pana nowego okrzyknąć.

Mieszko przeniósł wzrok na syna. Ten siedział na ławie, podparłwszy brodę pięściami, zwalisty i krzepki jak dąb. Twarz miał spokojną i mocną. Długie, płowe wasy zwisały nad stanowczymi ustami. Z pod wydatnych brwi sklepionego czoła spozierały oczy bystre, przenikliwe. Ulga spłynęła w serce starego człowieka, dobiegającego końca swoich dni. Prawdziwie, ten ci jego syn. Mądry i chrobry, Nie otrok żaden, ale mąż bywały, najlepszym wojom równy, praktyk. Sześć років miał



gdy u boku stryja Czcibora patrzył pod Cednem na klęskę grafa Hodona. Zaprawiał się do walki od małego i tęgo się zaprawiał.

Uśmiech serdeczny zabłysnął na twarzy starego, gość rzadki, przeczadki na zmarszczonym, trawionym troską i wielkimi zamysłami, obliczu. Uśmiechnął się do syna, który dzieło jego poprowadzi. Lecz Bolesław nie zauważył spojrzenia, zatopionym będąc w myślach. Trapiła go duszna niepewność. Jakże będzie grześć rodzica? Pierwszy to kneź polański, co pójdzie precz z panowania sam jeden, bez konia, bez niewolników, bez ofiar. Biskup Jordan zezwolił na sutą objatę, lecz srogim gniewem bożym zagroził w razie spalenia ciała na stosie, a wraz z nim konia i sług. Więc matwcił się dobry syn, nie wiedząc co gorsze; ojcu pozwolić zejść ze świata, niby smerdzie nędznemu niewolnikowi, czy obrazić Jezukrysta, wszechmocnego miłościwego Pana, od niedawna dopiero lechicką ziemią władającego?

— Bolko . . . — szepnął włodyka, unosząc się nieco z posłania.

Zerwał się i sunął ku ojcu, patrząc troskliwie w jego twarz ziemistą, okrytą potem śmiertelnym. Stary ujął go za rękę.

— Bolko, — rzekł — toć wiesz, że masz nad całą dziedziną włodarzyć . . .

— Nie nad całą, bo są przecie Przybywój i Odyleń. . . — zauważył nieco chmurnie syn, spoglądając na drzwi, którymi wyszła macocha.

— Nad dziedziną masz panować sam — ciągnął Mieszko, jak gdyby nie słysząc — sam, a mądrze. . . Szmata ziemi weźmiesz. Zbierały ją dziady, Ziemowit i Leszko, zbierał ojciec Ziemomysł. . . Zbierałem i ja. . . opole do opola, żupę do żupy. . . Utrudziłem się w pracy, urobiłem ręce, aż omdlały. . . Wielem zrobił. . . Słuchają ninie mojego, kneziowego rozkazu ziemi: gnieźnieńska, śląska, kujawska, czerska, łęczycka, sieradzka, i chrobackiej więcej jak połowa. . . Okrzciłem je wszystkie. . . Wwiodłem je ze znakiem Pana Jezukrysta w poczet wielkich, bardzo dufnych i mocnych narodów z Zachodu. Nie gorszy jest dziś każdy z moich wojów od frankońskiego, italskiego czy niemieckiego rycerza. . . Da-

leko w Italii siedzący wielki ociec krześcian, papież wie o naju, troska się przysyła nad Wartę, nad Wisłę biskupów i uczonych mnichów. . . Stracili Niemce prawo do ziemi słowiańskiej, odkąd krześciańską jest. . . Tom uczynił. Bacz! Wziąłem po ojcu setkę druzynników. . . Nosili skóry baranie, łykiem lipowym zeszyte, niezdarny toporek i kupą, jak stado szli do boju. . . A oto ci zostawiam: trzy tysiące ludu, ćwiczzonego, żelaznego. . . Wziąłem po ojcu z kopę arabskich pieniędzy, kruszcu solnego co nie co, skórek i płatów lnianych mało wiele. . . To był kneziowy skarb! Stoją ninie w komorze skrzynie pełne talarów srebrnych, nie gorszych niż niemieckie są. . . Tom wszystko uczynił sam, całe życie lepiąc w trudzie z słowiańskich plemion swarliwych i nieposłusznych tęgą calizną państwową. . . Nie wszystkich jeszcze zebrałem. . . Bym zdążył stanęła by moc sło-



wiańska większa, krzepciejsza, niż Niemce . . .
Twoja to sprawa czynić . . . Pod gniewem mi-
łego Jezukrysta, największego Pana i starvch
bogów, Swarozycy i Dadźboga przykazuję ci,
byś się budowaniu mojemu rozpaść nie do-
puścił, a tamtych do kupy wraz zgarnął:
Pomorzanów . . . Mazurów . . . Chrobatów . . .

Urwał, rżąc bo tchu mu brakło. Bolesław
pochylił się nad nim. Bystre jego oczy zła-
godniały.

— Nie frasujcie się ojcze ! — rzekł — Zbiere
ich do kupy w jedno. Sam zawładnę dziedziną
słowiańską. Nie skrzywdzę bracików, ale im
rządów nie pozwolę : Niemce są. Skrzyknę
pod jedne znaki, jedno zawołanie Pomorzany,
Mazury, Chrobaty i innych, jacy jeszcze są.
Obwaruję słupami żelaznymi, kowanami gra-
nice, gdzie słowiańska mowa sięga. Zadzierżą
się niemieckie margrafy, nie postąpią kroku
dalej. Jako częstokół warowny stanie polska

drużyna bojowa w poprzek drapieżnej drog
nielitosnego najeźdźcy. Dojdziemy morza,
morza wielkiego, morza szerokiego, na którym
ninie jeno Normany hulają. Wybudujemy
własne korable. Nad Odrą tyn stanie przy
tynie, broniąc ziemi naszej przed srogą
pychą Niemców, potomków grafa Gerona
i grafa Hodona. Nie wezną jednej piędzi
ziemi więcej. Pójdziemy na wschód ku Dnie-
prowi, z Rusią pobratymstwo zawrzeć. A że
wzrośnie, skrzepi się, zewrze wielkie mocarstwo
słowiańskie, mocarstwo swobodne polskie.
I będzie owo Państwo Polskie trwało po
wieki wieków. K'czemu wszystkie swe siły
przyłożę, tak mi dopomóż, miły Jezukrystu
Boże największy i starzy bogowie słowiańscy . .

Urwał, spojrzawszy w twarz ojca, i drgnął,
bo stary włodyka już nie żył.

Zofia Kossak-Szczucka.



Za lasem za górą,
Spotkał się wiatr z chmurą.
Za łby się porwali,
Kto kogo przewali.
Wicher się obrócił,

Chmurę w morze rzucił,
I zagwizdał potem,
I poleciał lotem,
Na wysokie góry,
Pobić inne chmury.



WIEŚCI HARCERSKIE

W OUTSHOORN . . .

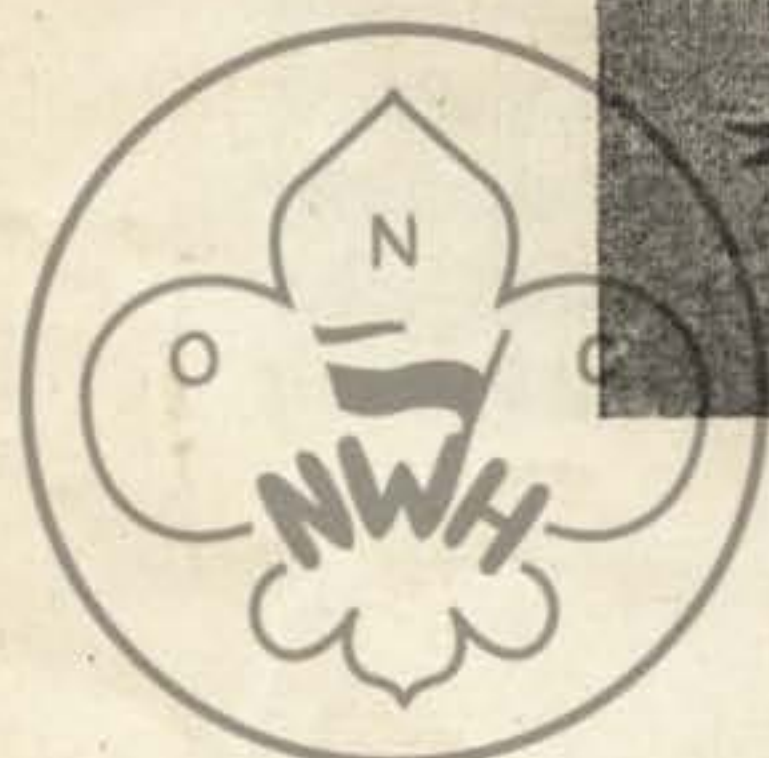
Tak się jakoś dziwnie składa, że środowiska harcerskie bliższe nam są jakoś znacznie mniej "pismienne" niż brać z "drugiego końca świata" jakby się przed wojną to określiło. W poprzednim numerze podaliśmy krótkie wieści z życia hufca Nowo-Zelandzkiego dzisiaj podzielę się nowinami otrzymanymi Hufca w Outshoorn (Południowa Afryka).

Hufiec liczy razem 152 osoby i składa się z 6 drużyn: 2 drużyny wędrowniczek, 2 drużyny harcowniczek i 2 drużyny harcerzy.

W marcu odbył się w Hufcu kurs dla zastępowych zorganizowany przez dh. Romualda Rzędziana. Kurs ukończyło 18 harcerek i 10 harcerzy. Przyrzeczenie złożyło 36 druhen.

Hufiec ogłosił konkurs na najlepsze wykonanie oznaki harcerskiej. Pierwszą nagrodę otrzymał zastęp "WILNO" z 1-ej Drużyny wędrowniczek zdobywając jednocześnie sprawność zdobnika.

Troska o fundusze na pracę organizacyjną jest problemem poważnym. W Niedzielę Palmową zastęp "BUKÓW" z 1-ej Drużyny Wędrowniczek rozprzedał wykonane przez siebie palmy w ilości 250 i uzyskał za to aż 5 funtów! Wieczornica harcerska zorganizowana w związku z dniem Św. Jerzego dała znowu przeszło 9 funtów w dochodach z bufetu. Obie przedsięwzięcia były patronowane przez ruchliwe Koło Przyjaciół Hufca.



archiwum

Z listu dowiadujemy się ponadto, że w Wielkim Tygodniu harcerze trzymali straż przy Grobie a harcerki jako sodalistki adorowały od Wielkiego Piątku do Niedzieli, że w rocznicę Konstytucji 3 Maja cały Hufiec brał udział w capstrzyku, uroczystej Mszy św. przemarszu ze śpiewem przez główne ulice miasta a wieczorem w akademji i przedstawieniu "Kościuszko pod Raławicami".

Hufiec posiada 2 świetlice, pracownię haftów ludowych z której dochód

przeznacza się na obóz i wykazuje rzeczywiście bardzo żywą działalność na wielu polach. Jestem szczerze wdzięczny dhnie E. Masojadowej hufcowej i przewodniczącej tej miłej gromadki harcerskiej za wyczerpujące dane o życiu organizacji na tamt. terenie i fotografie których część reprodukuje. Jestem przekonany, że hufiec Outshoorn będzie systematycznie przypominał się czytelnikom "ŚWIATA MŁODYCH". Mam nadzieję, że mogą na to liczyć.



archiwum



Jak widać z fotografii, którą reprodukuje obok, wystawa harcerska była bardzo obficie zaopatrzoną w piękne hafty ludowe i inne wytwory polskiego przemysłu domowego.

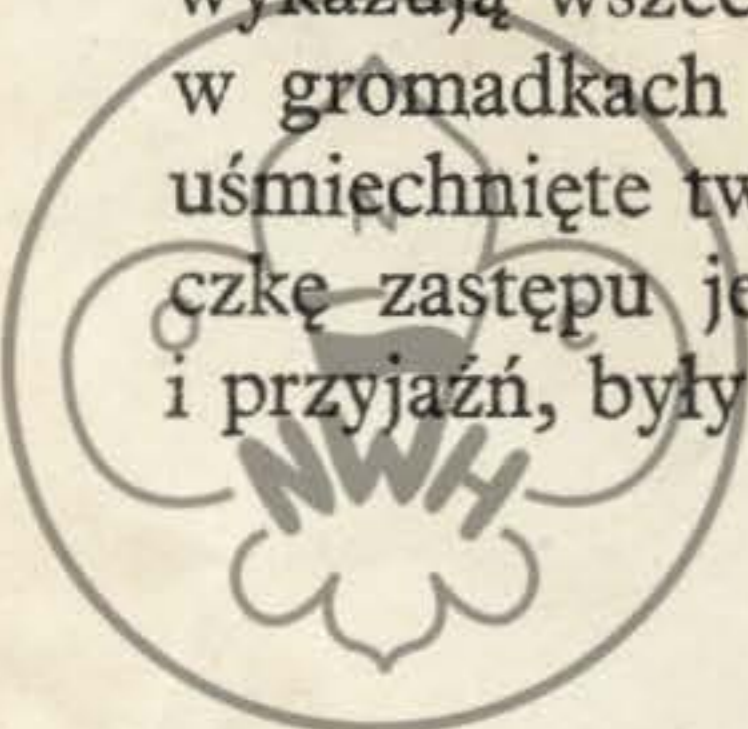
Sala udekorowana była malowanymi plakatami ludowymi, wykonanymi przez młodzież i wycinanką kaszbską układu i wykonania dhny E. Masojadowej

Druhny, które obsługiwały salę na wystawie są ubrane w kostiumy krakowskie

Kostiumy te były wielokrotnie używane w pokazach tańców ludowych ciesząc się ogromnym powodzeniem zarówno wśród miejscowego społeczeństwa polskiego jak i południowo afrykańskiego.

W PALESTYNIE . . .

Harcerstwo Polskie w Palestynie nie jest wprawdzie tak liczne, jak w innych ośrodkach polskich na obczyźnie (Niemcy, Francja), ale niewątpliwie jest bardzo dobrze zorganizowane i ruchliwe. Ostatnio nadesłane zdjęcia z tamtego terenu, wykazują wszechstronność życia organizacyjnego i stwierdzają, że duch panujący w gromadkach harcerskich jest naprawdę dobry. Kiedy patrzymy na szeroko uśmiechnięte twarzyczki wyglądających z autobusu, czy maszerujących na wycieczkę zastępu jesteśmy przekonani, że harcerski nastrój, pogoda, pomysłowość i przyjaźń, były realizowane w całej rozciągłości.



Zdjęcia nasze przedstawiają w kolejności od lewa do prawa : 1. Drużynową męską drużynę "Kościuszki" i zastępową zastępu "Mew" drużyny Emilii Plater przed wycieczką na górę Karmel. 2 i 3. Zastęp "Orłów" na górze Karmel. 4. Wycieczka Hufca Harcerskiego na górę Karmel.



archiwum

ZUCH

DODATEK DLA DZIECI



ptaszki i kwiatki

W gęstym lesie rosa kapie,
Pachną kwiatki, ptactwo śpiewa,
A Zosieńka ptaszki łapie,
A Kasienka kwiatki zrywa.

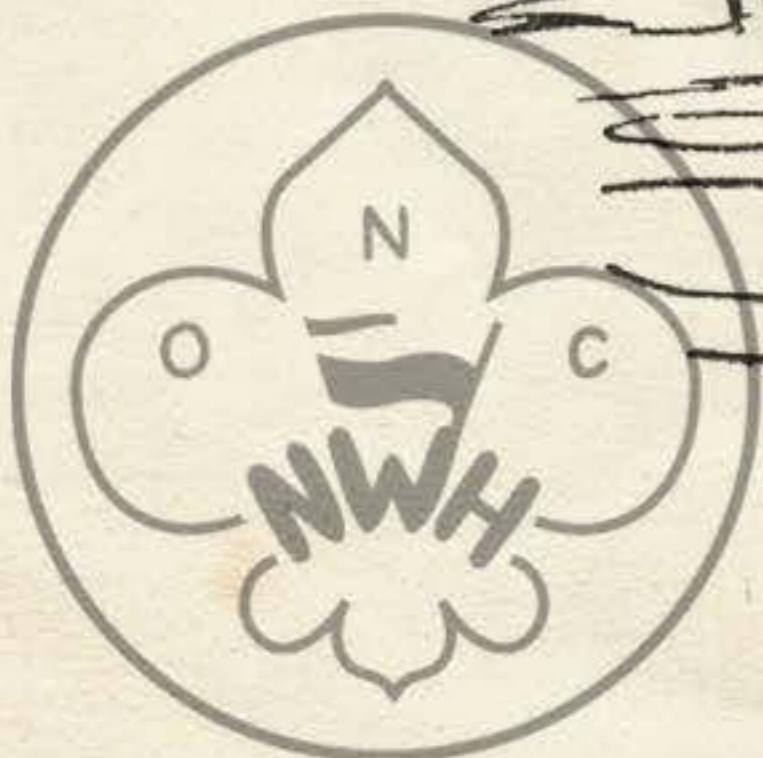
Nie łap ptaszków, ty Zosieńko,
Bo bez ptaszków smutno wszędzie,
Nie rwij kwiatków, ty Kasienko,
Bo bez kwiatków brzydko będzie.



archiwum

BOCIANIĘTA

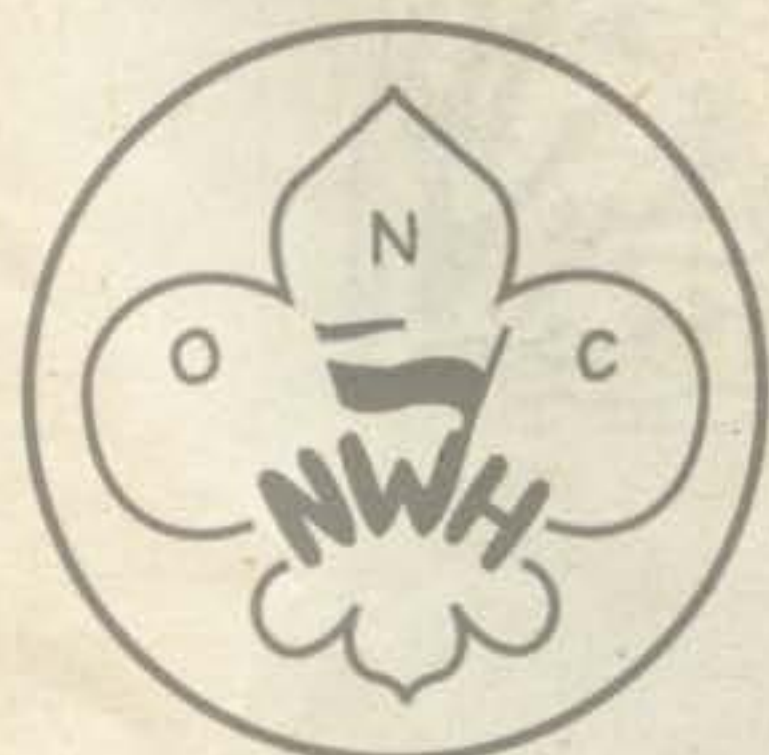
W gnieździe bocianim są już bocianięta. Dzieci często przybiegają patrzeć na nie. Bocianięta uczą się teraz fruwać. Zabawnie to wygląda. Najpierw tylko główki wyglądają z gniazda. Widać, że się boją. Patrzą to na ziemię to w górę. Stają, rozkładają skrzydła i znów je stulają. Zdaje się, że już, już fruną. Ale nie. Tylko skrzydłami wciąż poruszają. Wreszcie podnoszą się nad gniazdem, ale tylko odrobinę do góry i zaraz zfruwają z powrotem. Nie mają jeszcze odwagi.



Jednego dnia biegły dzieci, jak zwykle do bocianów. Zdalega już zauważyły, że się w gnieździe coś musiało stać. Stare bociany niespokojnie krążyły koło gniazda, a bocianiąt wcale nie było widać. Podbiegły dzieci bliżej, a tu pod topolą leży jeden bocianek. Widocznie spadł z gniazda. Był bardzo pokaleczony, ale się jeszcze ruszał.

Dzieci wzięły pokaleczonego bocianka na ręce i ostrożnie go zaniósły do domu Józia. Brat Józia obejrzał bocianka i powiedział: będzie żył. Potym otworzył mu dziób, wyjął skrzepłą krew i wypłukał dziób wodą. To bocianka trochę orzeźwiło, ale stać nie mógł. Nazajutrz miał się bocianek lepiej, chociaż siedział jeszcze skurczony, i spoglądał na dzieci ze strachem. Z początku bocianek nie mógł sam jeść. Więc mu dzieci otwierały dziób i kładły po trochu siekanego mięsa. Po paru dniach bocianek wyzdrowiał i oswoił się. Jak tyło dzieci przychłodziły, zaraz zaczął klekotać i ruszać skrzydłami. Zupełnie tak samo, jak bocianięta, kiedy im stare bociany przynosiły pożywienie. Raz przyniosły dzieci bociankowi trochę zielonych żabek. Żabki bardzo mu smakowały, więc go dzieci zaczęły wyprowadzać na łąkę. Bocianek prędko sam się nauczył wyszukiwać żabki w trawie. W tym czasie, kiedy bocianek chorował, bocianięta na gnieździe dalej uczyły się fruwać. Codzień szło im lepiej. Coraz wyżej unosiły się nad gniazdem. Zaczynały już nawet z gniazda wylatywać. Z początku krążyły tuż koło samego gniazda. Potym coraz dalej i dalej, coraz śmieiej i śmieiej. Aż wreszcie jednego dnia pofrunęły ze starymi bocianami na łąkę. Dzieci widząc to, postanowiły i swego bocianka nauczyć fruwać. Znosiły go na podwórko i stawiały na płocie. Bocianek z początku bał się fruwać i tylko zeskakiwał z płotu na ziemię. Nagle, jednego dnia pofrunął z płotu na dach. Parę godzin stał tam i rozglądał się na wszystkie strony. Potym gdzieś poleciał, ale zaraz wrócił. Tak było przez parę dni. Aż jednego dnia poleciał na łąki i więcej nie wrócił.

Dzieci nie zmartwiły się wcale utratą swego bocianka, Widziały go jeszcze z daleka latającego wraz z innymi bocianiętami w pobliżu starego bocianiego gniazda.



PRZYGODA Z JEŻEM

— Dwa lata temu — opowiada Kazio — pamiętam, była to niedziela i ciepło było na dworze. Siedzieliśmy z Walkiem od kowala nad stawem i patrzyliśmy, co się w wodzie roi. Nudziło się nam. Więc Walek powiada: — Chodźmy sobie sami do boru na jagody. — No chodźmy. — I poszliśmy.

Do boru było daleko. Idziemy i idziemy, a boru nie ma i nie ma. Upał taki, że aż czapki pozdejmowaliśmy i liście pokładliśmy na głowy. A piasek gorący, nogi pali, bo szliśmy boso. Idziemy i idziemy. Daleko, bo daleko. Ale zaszliśmy.

Wchodzimy do lasu. Drzewa tu jedne ogromne, inne malutkie tuż przy ziemi. Piasku już nie ma, tylko igły suche i mech. Walek, co to za zuch do much, bał się iść dalej i skubał jagody pod krzakiem tuż koło drogi.

Mówię do niego: — Nie chcesz iść dalej, to pójdę sam. Lepiej mi samemu niż z takim bojakiem.

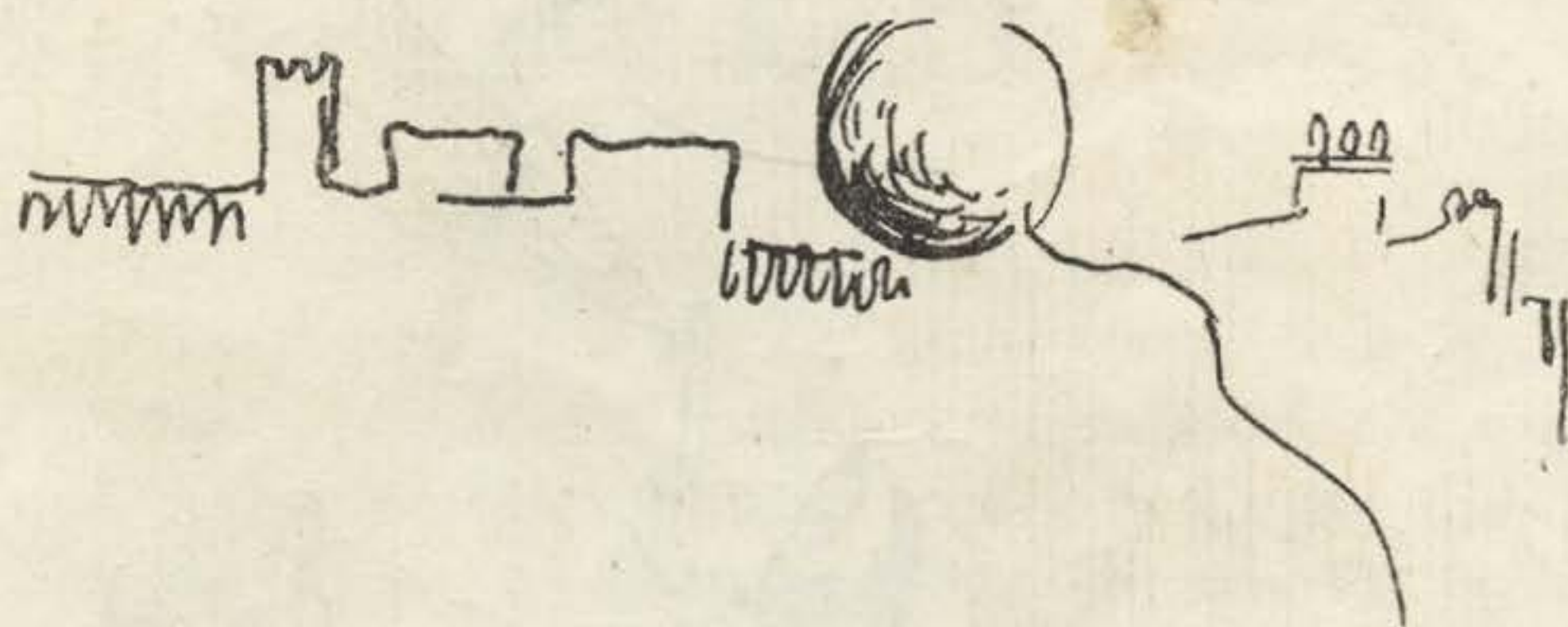
I poszedłem.



Ciemno w borze i cicho. Ptaki nie śpiewają, pewno na skwar, bo wielki był. Idę sobie. Jagody podbieram. Aż tu nagle coś kołomnie sapnęło i idzie liście trącając.

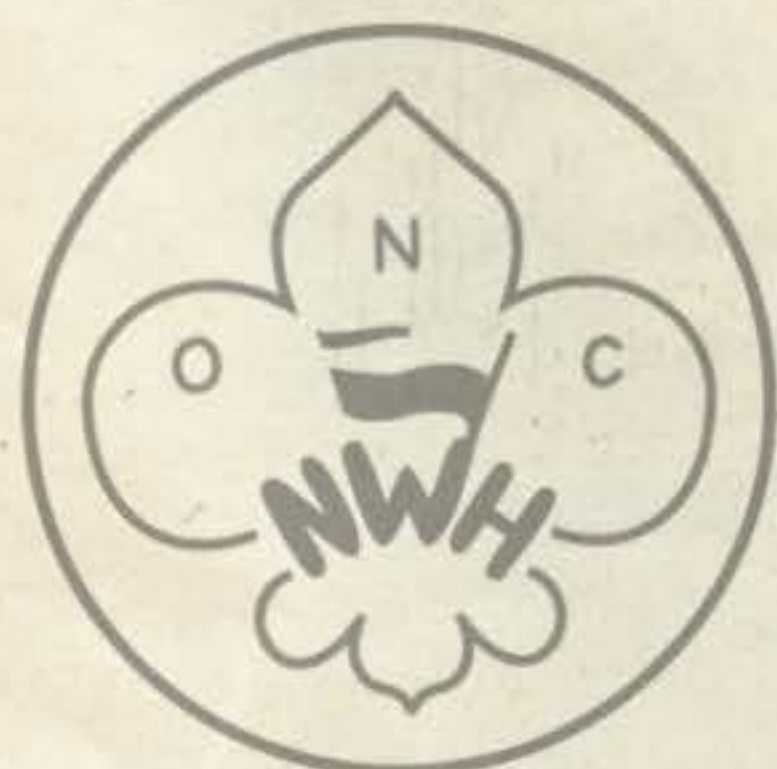
Strach mnie obleciał. — Wilk — myślę — czy co? — już chciałem uciekać do Walka, ale coś mnie tknęło, że się będzie śmiać i powie, że sam jestem bojak. Więc zostałem choć straszno było.

— Patrzę, a tu ci idzie taki szczur-nie-szczur, a sapie a po liściach ryje. Nie straszny on tylko szurpaty, jak szyszka. A ślepa ma malusieńkie. Wołam na Walka: — Chodź, chodź, zobacz com znalazł. — Walek wnet przybiegł, bo był blisko. I obaj chcemy tego zwierza obejrzeć. A on się zląkł i zwinął w kłębuszek. Dotkałem go palcem. Kłuje jak jałowiec. A Walek powiada: — Nie ruszaj go. To pewnie jakiś szczur jadowity. Może tymi igłami jad puszcza. Więc go zostawiłem, tylko szukałem małych. Bo takiego małego, jak jabłko, tobym się nie bał, choćby był jadowity. Ale był tylko ten jeden. Ruszaliśmy go kijem. Ani drgnął. Leżał śpiący, a może nie żywy. Wkrótce ściemniać się zaczęło. Wiatr szumiał w lesie. Straszno nam się zrobiło. Zostawiliśmy więc tego kłującego szczura pod krzakiem i pędem pobiegliśmy do domu. Już koło domu spotkaliśmy kowala. Zaczęliśmy opowiadać, jak tego szczura dzikiego znaleźliśmy, jak go w lesie zostawiliśmy i że pewno on jadowity, pewno igłami jad puszcza. Chłopaki ze wsi zbiegli się. A słuchają. A rozpytują się, każdy sobie. A kowal sylko się uśmiechnął i powiedział: — Cicho bądźcie, raki utrapione, nie był to tzczur, ani żaden zwierz jadowity, tylko to był jeź. Jeża wyście widzieli.

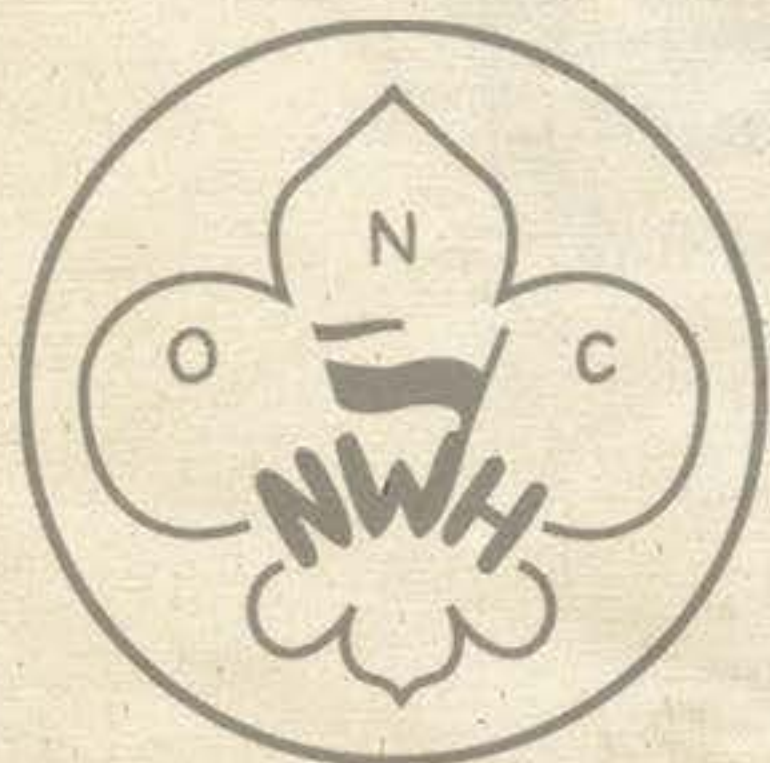


BALONIKI

W parku pełno radosnych okrzyków . . .
Przyszła babcia z pękiem baloników.
Baloniki lekkie, kolorowe,
Niby duszki błękitne, tęczowe !



Rwą się w niebo, szarpia cienie sznurki,
Chcą się zerwać i ulecieć, w chmurki. . . .
Przyszła Hania. Ściska pieniądz w dłoni,
Patrzy długo : wybiera balonik.
Przy niej Franuś, bardzo wielki znawca,
Co sam zrobił pięknego latawca
Z ważną miną ogląda balony :
Najpiękniejszy ten duży, czerwony.
Będzie mocny, chociaż jest leciutki,
Dźwignie ciężar papierowej łódki
Trzymaj Haniu ! Lecz wiatr niegodziwy
Szarpnął ! Balon wyrwał się jak żywy,
Minał drzewa, teraz dachy minie
I maleńki pośród chmur zaginie. . . .





ZUCHY

Wszystkie Zuchy w Gromadach wiedzą o gwiazdkach i stopniach. Wiedzą co trzeba umieć, żeby je zdobyć i jak się zachowywać, aby być prawdziwym Zuchem, ale dzieci poza organizacją zuchową też właściwie mogą być małymi zuchami. Czy myślicie, że jest to bardzo trudno? Chyba nie. Posłuchajcie tylko: u Zuchów-dziewcząt istnieje naprzykład sprawność, która nazywa się "Wesołek". Żeby mieć tę sprawność trzeba odpowiadać następującym warunkom!

1. Zuch posiadający sprawność Wesołka jest zawsze pogodny. 2. Umie rozweselić Gromadę zabawą, śpiewem, dowcipem, anegdotą, tańcem. 3. Zagra do tańca na organkach, cymbałkach, lub grzebieniu, albo też narysuje coś wesołego.
4. Powie kilka wierszyków treści wesołej. 5. Podpatrzy wesołą scenę z życia Gramady i potrafi ją zainscenizować.

To chyba nie trudne?

Albo naprzykład sprawność "Zgaduj-Zgadula". 1. Rozwiązuje z łatwością zagadki, szarady, rebusy z pism dziecięcych. 2. Układa zagadki i rebusy. 3. Otrzymała przynajmniej jedną nagrodę, lub wyróżnienie za dobre rozwiązanie łami-główek z pisemka. 4. Zna kilka sztuczek rachunkowych, np. odgaduje pomyślaną liczbę, układa magiczne kwadraty itp.

W "Zuchu" w każdym numerze znajdziecie trochę szarad, rebusów, zagadek. Sprawdzajcie swoje umiejętności. Napiszcie do Redakcji. Postaramy się przyznać honorową oznakę sprawności.

Do dzieła Zuchy i kandydaci na Żuchów!

DLACZEGO FLĄDIA MA KRZYWY PYSK.

Opowiadanie kaszubskie.

Przed laty, stworzywszy niebo i ziemię, oddzielił Pan Bóg wodę od piasku i z wody tej zrobił jeziora i morze. I w morzu i w jeziorach z Jego rozkazu zamieszkało wiele ryb, i ryby one zebrawszy się pewnego razu na naradę, postanowiły wybrać sobie króla. Spierały się długo między sobą, kto najbardziej urzędu tego jest godny, i wreszcie tak uradziły: "Kto najpierw w białym fartuchu na oznaczonym miejscu stanie, ten niech nam panuje".

Gdy wieść o tym postanowieniu rozbiegła się po rybnej dziedzinie, rzucił się kto żyw, do szukania białego fartucha. Najrychlej ustroił się w niego śledź, co żywo przybieżał na oznaczone miejsce i królem też zaraz obrany został. W chwilę po nim pędzi flądra, też w biały fartuch odziana, ale z daleka już słyszy głośne okrzyki: "Za późno, flądro, za późno. Śledź tu był przed Tobą! On też nam już panuje!"

Rozgniewała się flądra okrótnie, że taki mizerak, jak śledź ma panować, i w złości szpetnie doń pysk wykrzywiła. Ale za tę złość ukarał ją Pan Bóg, bo jej skrzywienie ono na wieczne czasy zostało.

M. D.



Cena I sh

ŚWIAT MŁODYCH I ZUCH
dla młodzieży i dla dzieci
WYDAWCA: ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO

Naczelnictwo poza granicami Kraju

21, Earls Court Square,
London, S.W. 5.

VI 46
V 46